

## **Środowisko Teologii Politycznej to krąg przyjaciół. Rozmowa „Odry” z Dariuszem Karłowiczem**

Dzisiaj zespoły uniwersyteckie działają raczej na zasadzie antologii niż seminarium, gdzie się dyskutuje w gronie, które jest wspólnotą myśli, upodobań, pasji. To wielka szkoda, bo polska kultura, w tym kultura polityczna, wyrosła z seminarium – z Dariuszem Karłowiczem, redaktorem naczelnym „Teologii Politycznej” i prezesem Fundacji Świętego Mikołaja, rozmawia Magdalena Bajer. Wywiad ukazał się w miesięczniku „Odra”.

**Magdalena Bajer (Miesięcznik „Odra”):** W przekonaniu, że o teologii politycznej, jako idei i jako środowisku, które tę ideę urzeczywistnia, wiemy niewiele, spytam o jej początek.

**Dariusz Karłowicz:** Historia, a właściwie prehistoria, teologii politycznej sięga 1995 roku. Genezą były dwa, w naszym środowisku legendarne, spotkania. Jedno pod katedrą św. Stefana w Wiedniu – rozmowa nieżyjącego już Tomka Merty, późniejszego wiceministra kultury, z dzisiejszym profesorem Markiem Cichockim. Obaj byli młodymi doktorantami. Rozmawiali o braku w Polsce środowiska alternatywnego dla narracji publicznej, która im się bardzo nie podobała. Drugie, to było moje spotkanie z Dariuszem Gawinem. W

Warszawie mieszkaliśmy po sąsiedzku, ale poznaliśmy się w Oxfordzie i ten temat braku debaty w ogóle, a głosu innego niż neoliberalny w szczególności, także nas zaprzął.

### **Wyraźnie pokoleniowa geneza.**

Z pewnością. Punktem zapalnym było wybranie na prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Kończyliśmy studia około 1989 roku, który wydawał się końcem ponurej poprzedniej epoki, więc wybór Aleksandra Kwaśniewskiego zachwiały naszym światem. Także z powodu zapomnianej już okoliczności – ostentacyjnego, niesłuchanie żenującego kłamstwa prezydenta w kwestii własnego wykształcenia.

### **Jak panowie widzieli swoje zadania i role w społeczeństwie, kończąc studia filozoficzne?**

Zaraz po studiach to za wcześnie, żeby powiedzieć coś o świecie własnym głosem, a jednak w szkole i na studiach człowiek się do tego przygotowuje. Myśmy się bardzo solidnie przygotowywali, ale kiedy powinniśmy przedstawić nasz „majstersztyk”, nasz pomysł na świat – zniknęła rzeczywistość, której się uczyliśmy. To, co się pojawiło wokół, było ładem nieznanym, przez nikogo nie opisanym.

### **Odebraliście to jako szansę?**

Zaraz po czwartym czerwca mieliśmy nadzieję, że nasi mistrzowie, profesorowie – intelektualiści szeroko rozumiani – pomogą nam zrozumieć to, co się dzieje. Dość szybko okazało się, że to jest nadzieja złudna, że wybitni specjaliści swoich dziedzin opisują powstałą rzeczywistość wstępniakami z „Gazety Wyborczej”. Musieliśmy sami sobie radzić w tej rzeczywistości: pisać doktoraty i zarabiać na życie. Stworzyłem wtedy i przez dwa lata prowadziłem jedną z największych agencji reklamowych, bo pensja w Polskiej Akademii Nauk nie pokrywała kosztów kserokopii, które nosiłem na zajęcia ze studentami. Podobnie było w przypadku moich kolegów. I wtedy wymyśliliśmy, że trzeba przeczytać klasyków, żeby zrozumieć to, co się wokół nas dzieje.

### **Jakich klasyków?**

Klasyków myśli politycznej, a właściwie tych wszystkich, których ceniliśmy za zdolność rozumienia rzeczywistości. Bardzo starannie przeczytaliśmy wybrane dialogi Platona, *Politykę* Arystotelesa, pisma Johna Locke’a, Thomasa Hobbesa, Jana Pawła II i wielu innych, z uwzględnieniem nie branych na ogół w polskiej tradycji pod uwagę, myślicieli starożytnych. Próbowaliśmy, inaczej niż na uniwersytecie, uczyć się „od” tych filozofów, a nie „o” nich. Taka metoda pozwala traktować filozofa jako mistrza, a nie jako preparat badawczy. Uczenie się „o” to metoda bardzo niebezpieczna. Czyni każdego, nawet niezbyt mądrego, badacza mądrzejszym od przedmiotu, którym się zajmuje. Nas nie interesowało badanie przeszłości, ale współczesność. Pytaliśmy: co Platon, Arystoteles, Hobbes mówią nam o rzeczywistości, która nas otacza? Brałiśmy do ręki *Politykę* Arystotelesa i zadawaliśmy sobie pytanie o aktualność diagnoz antropologicznych, które stoją u źródła jego wizji politycznej. To było, moim zdaniem, owocne.

## **Wyobrażam sobie, jak było pasjonujące.**

Oczywiście. Było nas ośmiu. Niestety, trzech już przedwcześnie odeszło. Mój przyjaciel ze studiów, Paweł Paliwoda, znakomity eseista, świetny znawca Arystotelesa, Tomasz Merta, tęga głowa, wyśmienite pióro; miałem przyjemność zbiory ich obu post mortem wydać w oficynie Teologii Politycznej. Trzeci to, zmarły w tym roku, Janusz Ostrowski, wykładowca UW, wielki znawca heglowskiej filozofii, który przeszedł na pozycje lewicowe. Współpracował z „Krytyką Polityczną”, wtedy łączyła nas, konserwatystów, i jego wrażliwość społeczna oraz pewna wrażliwość metafizyczna. Pięciu pozostałych to, obok moich przyjaciół, z którymi stworzyliśmy potem „Teologię Polityczną”, czyli Dariusza Gawina i Marka Cichockiego, Andrzej Gniazdowski, profesor filozofii w IFiS PAN, i Robert Krasowski, dzisiaj właściciel wydawnictwa Czerwone i Czarne.

## **I tych pięciu młodych ludzi stało się zaczynem środowiska, zarazem jego duchowym i intelektualnym centrum?**

Tak. Obok kończenia doktoratów, które po kolei broniliśmy (z bardzo rozmaitych dziedzin, bo np. Dariusz Gawin pisał o Eliocie, a ja o filozofii śmierci w starożytności), wszyscy zajmowaliśmy się publicystyką. I czytaliśmy po kolei książki filozoficzne. Ale to nie było delectatione się własną erudycją, tylko żarliwa chęć zrozumienia rzeczywistości.

## **Żeby na nią wpływać?**

Przede wszystkim: żeby ją zrozumieć, bo czuliśmy, że na ogół była opisywana albo nietrafnie, albo wprost bałamutnie. Mieliśmy dojmujące poczucie, że dyskurs opisujący transformację, sytuację Polski, jej problemy nie przylega do rzeczywistości, do tego, co czuliśmy i rozumieliśmy jako młodzi Polacy, zanurzeni w życiu po szyję. Byliśmy przy tym na całkowitym marginesie oficjalnego życia III RP, poza wszystkimi głównymi nurtami, z takim, może dziwnym, uczuciem spokoju, wynikającym stąd, że robimy to, co najciekawsze, bo to właśnie filozofa inspiruje i umożliwia trafne odczytanie rzeczywistości. Marek Cichocki miał propozycję objęcia w „Gazecie Wyborczej” któregoś z ważnych działów, chyba kulturalnego, i odmówił bez namysłu, a my nie dziwiliśmy się jego decyzji.

**Dlatego, że interesowało panów wyższe intelektualnie piętro poznawania rzeczywistości, ta właśnie filozoficzna perspektywa?**

Nie przeceniałbym naszego ówczesnego rozeznania ani naszych umiejętności. Pracowaliśmy nad wynajdywaniem pojęć przylegających do rzeczywistości lepiej od prymitywnych podziałów na Europę i zaścianek, tolerancję i nietolerancję itp. Podam przykład. Wracła wtedy po raz kolejny dyskusja o narodzie. Byliśmy jeszcze w bliskich stosunkach z Jarkiem Gowinem, redaktorem naczelnym „Znaku”, wówczas wspaniałego otwartego, naprawdę pluralistycznego pisma (jego autorami byli wtedy Kołakowski, Walicki, Szacki, Jedlicki, Legutko...). Jeden numer poświęcony został właśnie tej kwestii. I bardzo to było smutne i jałowe, bo wszyscy autorzy powtarzali w nim, na zasadzie odruchu kolanowego, że nacjonalizm to jest niebezpieczna kategoria, anachroniczna, a od uznawania narodu za wartość blisko do nacjonalizmu.

**We współczesnych dyskusjach, zwłaszcza środowisk liberalnych, zatarło się rozróżnienie między patriotyzmem i nacjonalizmem, które to postawy mają inne źródła.**

Widać było, że pojęcie narodu jest tak obciążone historycznie, że trudno wyrwać się z zakłętego kręgu. Problem w tym, że bez podobnego pojęcia niepodobna poważnie dyskutować o Polsce. Unikając przedłużania jałowych sporów, z całą premedytacją użyliśmy (w naszej publicystyce) pojęcia wziętego od Arystotelesa: wspólnoty politycznej. Nieobciążone złą przeszłością pozwalało wrócić do rozmowy o sprawach podstawowych: wspólnocie wartości, kwestiach moralności publicznej, roli religii, sensie i znaczeniu tradycji kulturowej, o wspólnocie komunikacyjnej. Jednym ze sposobów, w jaki Arystoteles rozumie to ostatnie pojęcie, jest zresztą wspólnota dyskutująca o sprawiedliwości. W kontekście toczącej się debaty o lustracji jasne się stawało, że niepodjęcie takiej dyskusji jest rezygnacją z podstawowego etapu konstytuowania się wspólnoty politycznej. Zrozumieliśmy to dzięki Arystotelesowi. Ku mojej radości, nie minęło półtora roku, jak premier Jerzy Buzek użył publicznie określenia: wspólnota polityczna. Pojęcia się przyjmowały. Późniejszym takim przypadkiem jest upowszechnienie kategorii podmiotowości, którą z Markiem Cichockim „przenieśliśmy” z psychologii do sfery dyskursu politycznego.

**To były świadectwa czynnej obecności w życiu publicznym.**

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zaczęły się pojawiać inne środowiska konserwatywne. Nawiązaliśmy relacje z kręgiem związanym z Robertem Kostro, dzisiaj dyrektorem Muzeum Historii

Polski, politologiem Rafałem Matyją i Kazimierzem Ujazdowskim. Tematem, który szczególnie nas zaprzętał, była przeszłość, historia i związku historii z państwem. W tamtym czasie do dyskursu wprowadziliśmy pojęcie polityki historycznej, dzisiaj powszechnie używane. Napisaliśmy wtedy sporo tekstów o tej problematyce, używając także kategorii *pamięć aksjologiczna*. To taka sfera zbiorowej wyobraźni, która przyjmuje historię za kostium najważniejszych wartości. Pamięć aksjologiczna wybiera z przeszłości te zdarzenia, które uważa za wzorcowe, które chciałaby powtarzać. Nie ma dla niej znaczenia, że filomatów była garstka, bo pamięć aksjologiczna powiada: „To jest postawa, jaką uważamy za wzór. To sfera norm i wartości, a nie historii w akademickim sensie tego słowa”.

**Dlatego bardzo zależy on od wyborów dyktowanych zespołem poglądów, z którego wywodzą się oceny przeszłości.**

Uważam, że jest rzeczą wysoce dla wspólnoty pożyteczną, by w pamięci pozostawały rzeczy piękne, bo one dają nadzieję na kształtowanie przyszłych zachowań. Teraz pytanie: czy w tym trudzie wydobywania z przeszłości tego, co dla wspólnoty cenne, państwo może i powinno pomagać? We wszystkich krajach Zachodu – pomaga. Rewia towarzysząca zmianie warty pod pałacem Buckingham utrwala dobrą pamięć tradycji uważanej za ważną dla brytyjskiej tożsamości.

**Niepodobna tego kwestionować.**

W latach dwutysięcznych kwestionowano to niezwykle żarliwie. Nasz klub w tym czasie trochę się rozluźnił. Jedni zaangażowali się w mediach, inni zajęli nauką, Kazimierz Ujazdowski, minister kultury w rządzie AWS, i Robert Kostro, szef jego gabinetu, zaprosili nas do współpracy. Jednym z owoców była wystawa *Bohaterowie naszej wolności*, którą zorganizowałem przy pomocy ministerstwa. Poprosiłem wybitnego fotografa, Wojtka Wieteskę, o zrobienie portretów osób, które w warunkach wojennych wybrały ryzyko śmierci. Piękne fotografie, wystawione w sali biblioteki Zamku Królewskiego, zaopatrzone były w malutkie urządzenia, sprawiające, że kiedy ktoś zbliżał się do portretu, jego bohater opowiadał krótką historię ryzykownego zdarzenia, jakie przeżył. Wystawę poprzedziliśmy kampanią billboardową, której pierwszą część stanowił napis: *Poświęcić życie za ojczyznę* ze znakiem zapytania, następnie w tym samym miejscu pojawiły się zdjęcia pułkownika Romualda Bardzyńskiego oraz Zofii Rysiówny. To wywołało, nie waham się powiedzieć: amok. Od „Nie” po „Tygodnik Powszechny” zarzucano nam propagowanie „patriotyzmu militarystycznego”, który jakoby kłóci się z „patriotyzmem obywatelskim”, postawą uczciwości w biznesie, gotowości do płacenia podatków... Ponadto powtarzano, szczególnie irytujące mnie, niemądre twierdzenie, że Polakom łatwiej umierać niż płacić podatki. A przecież patriotyzm jest integralny. Nikt nie chciałby umierać i myśmy tego nie chcieli dla nikogo, natomiast mieliśmy świadomość, co jest miarą patriotyzmu pojmowanego jako solidarność z własną wspólnotą, gotowość noszenia ciężarów, które na szczęście w naszych czasach są niewielkie.

**Jak pan to tłumaczy dzisiaj?**

Najkrócej i w koniecznym uproszczeniu, myślę, że to brało się z lęku przed rzekomym nadmiarem wspólnoty, demonizacją polskiej – rzekomo nacjonalistycznej – tradycji i wreszcie, przykro to powiedzieć, z dość ograniczonych horyzontów politycznych środowisk, które zakładały fundamenty Trzeciej Rzeczypospolitej. Głoszenie, że spory aksjologiczne w debacie o państwie są, jak się wtedy w kółko mówiło, tematami zastępczymi, dowodzi takiego ograniczenia. Czy można wątpić, że dla rekonstruującej się wspólnoty politycznej debata o sprawach zasad i norm jest fundamentalna?

**To wydaje się oczywiste.**

Wtedy oczywiste nie było. Pamiętam dyskusję w radiowej Trójce, kiedy młody filozof z Uniwersytetu Warszawskiego dowodził, że pomnik Małego Powstańca jest wyrazem „narodowej nekrofilii” i że wszystkie te żenujące powstania i całą tę martyrologię trzeba zostawić historykom. I to było wówczas całkowicie cenzuralne. A jak się weźmie do ręki *Odyseję*, widać, że pieśni o bohaterach śpiewano, jeszcze zanim zdolali wrócić do domu. Takie pieśni śpiewa się w każdej żywej kulturze, bo bohaterowie stanowią przecież to, co Arystoteles nazywał metron, miarę człowieczeństwa i obywatelskich postaw. Znam wielu biznesmenów, których do uczciwości zobowiązuje pamięć o bohaterach, a nie poznałem nikogo, kto by płacił podatki, bo przeczytał podręcznik etyki biznesu.

**Dla mojego pokolenia to są, powtarzam, sprawy bezdyskusyjne.**

Bardzo poważny problem liberalnego indywidualizmu polega na tym, że można w jego ramach wskazać rozumne racje odroczenia korzyści, jakie czerpiemy z bycia we wspólnocie, pomniejszenia ich w imię przyszłości, natomiast niepodobna umieścić w tym dyskursie ideału wielkiego poświęcenia, o śmierci za ojczyznę nawet nie wspominając. To widać nie tylko w Polsce. Po ataku na dwie wieże w Nowym Jorku liczba chętnych do pracy w straży pożarnej zmalała. A trzeba wiedzieć, że właśnie strażacy po 11 września 2001 byli w Nowym Jorku prawdziwymi bohaterami. Ich odwaga wywoływała powszechny podziw. Wprowadzona w obręb neoliberalnego dyskursu, stała się czymś niemożliwym do wyjaśnienia inaczej niż w kategoriach ryzyka podejmowanego za odpowiednią płacę, bądź predyspozycji ludzi, którzy lubią ryzyko.

**Z moich doświadczeń osobistych i z rozmów w wielu rodzinach inteligenckich wynika, że ta zmiana nastąpiła stosunkowo niedawno.**

To prawda. Po wystawie, zakończonej straszną awanturą, zrozumieliśmy konieczność dyskusowania o jakiejś koncepcji nowoczesnego patriotyzmu – nie tylko na potrzeby seminaryjnego dyskursu, ale szerszej publicystyki. Część Klubu Krytyki Politycznej znalazła się w kręgu osób, którym Lech Kaczyński, wówczas prezydent Warszawy, zlecił przygotowanie Muzeum Powstania Warszawskiego. Liderem tego projektu był Jan Ołdakowski, do dziś dyrektor muzeum. Razem z Dariuszem Gawinem, wicedyrektorem, stworzyli niezwykle prężną instytucję kultury, odwiedzaną przez ponad pół miliona osób rocznie, gromadzącą tysiące ludzi na koncertach, spektaklach, filmach, wystawach czasowych... Nad tworzeniem tego muzeum pracowały jak

mawialiśmy żartem: Zarząd, złożony z Jana Ołdakowskiego, Pawła Kowala i Leny Cichockiej oraz Rada, którą tworzyli Dariusz Gawin, Marek Cichocki i ja.

### **To samo ciągle środowisko.**

Tak i w tych samych warunkach, jakie panowały, gdy powstawała wystawa *Bohaterowie naszej wolności*, to znaczy bardzo silnej niechęci do tradycji patriotycznej, a insurekcyjnej w szczególności.

Zbudowaliśmy muzeum w rok, co było czymś nieprawdopodobnym, a zaznaczę, że stan starego budynku na Woli okazał się o wiele gorszy, niż mówiły ekspertyzy. Nie udałooby się to bez wielkiej życzliwości prezydenta Lecha Kaczyńskiego, inicjatora całego przedsięwzięcia, i pracy Elżbiety Jakubiak, która była łącznikiem między światem polityki a nami. To, że otworzyliśmy muzeum w okrągłą rocznicę powstania (2004), rzeczywiście graniczyło z cudem. Okazało się wtedy, że możemy stosować w praktyce pewną wizję republikanizmu, o której przez wiele lat wcześniej dyskutowaliśmy, która zasadza się, mówiąc najprościej, na przekonaniu, że warunkiem niezbędnym dla zdrowej debaty, w sytuacji ujawnianych różnic, a często i politycznej walki, jest istnienie spójnej wspólnoty politycznej. Jeśli jej nie ma, demokracja wywirowuje ekstrema, rychło doprowadzając do czegoś w rodzaju bezkrwawej wojny domowej. Kiedy nie ma tego, co łączy, demokracja ma skutek destrukcyjny – rozbija wspólnotę polityczną. Nasze zainteresowanie polityką brało się z przekonania, że podstawowym zadaniem republikanów jest wzmacnianie tych elementów, które spajają.

### **Muzeum Powstania Warszawskiego gromadzi takie elementy?**

Muzeum jest chyba najbardziej udanym z przedsięwzięć, jakie pod tym hasłem mieliśmy możliwość robić. Chcieliśmy odnieść się do daru, jakim było Powstanie, i próbować znaleźć w nim to, co wspólne, to, co jednoczy. A tym, co wydawało nam się wspólne, była racja ofiary, którą powstańcy złożyli. Tę rację stanowiło... państwo polskie. Powtarzana czasem ironiczna i, moim zdaniem, fałszywa opowieść o Powstaniu Warszawskim jako akcie romantyczno-sentymentalnym zupełnie nie bierze pod uwagę tego, że to była „eksplozja” państwa, które miało strukturę władzy, armię, pocztę, prasę. Mieliśmy wrażenie, że akt powstańczy i gotowość do ogromnych ofiar wyrastały z przekonania, że państwo jest ważniejsze od życia. I znowu – powiem z najwyższą powagą – nie próbowaliśmy rozstrzygać, czy wybuch powstania był słuszny czy niesłuszny, uważając, że nie należymy do pokolenia, które ma prawo tę debatę toczyć. Być może, gdyby do tego doszło, podzielilibyśmy się na zwolenników i przeciwników. Ale myśleliśmy tak: otrzymaliśmy tę ofiarę w darze. Możemy ją zignorować, wyśmiać, zdezwuować... albo podjąć z powagą i wdzięcznością, wydobywając z niej to, co najważniejsze, najcenniejsze. A tym czymś była, naszym zdaniem, postawa wobec wolności i państwa. Mam wrażenie, że od dnia otwarcia to spojrzenie zostało przez dzisiejszych warszawiaków i gości z całej Polski uznane za własne.

**Zdaniem pewnej uczestniczki Powstania Warszawskiego, z którą rozmawiałam, ono nie mogło nie wybuchnąć. Takie były nastroje młodych ludzi, taka ich determinacja. I to się także mieści w tym darze, który otrzymały następne pokolenia.**

– Nieraz zastanawiałem się, dlaczego powstanie trwało tak długo. Historia jest pełna powstań w różnych miastach Europy, które kończyły się po dwóch trzech dniach. A w Warszawie ludzie, przez 24 godziny każdego z sześćdziesięciu trzech dni decydowali, że państwo jest ważniejsze od życia i trwali. Zadawaliśmy sobie pytanie, co z tym mamy zrobić. Ksenofont w jednym z dialogów sokratycznych mówi, że wdzięczność jest wyrazem sprawiedliwości i roztropności. Mieliliśmy głębokie przekonanie, że akt wdzięczności wobec powstańców warszawskich w postaci muzeum jest absolutnym minimum sprawiedliwości i roztropności. A przy okazji okazało się, że Powstanie '44 jest nie tylko dla nas czymś więcej. Nie wiem, jak to nazwać. Żywym ośrodkiem tożsamości? W centrum muzeum stoi prostopadłościan wymyślony przez duet genialnych wystawienników – Mirka Nizio i Jarosława Kłaputa. Jak się przyłoży do niego ucho, można usłyszeć różne dźwięki z Powstania Warszawskiego, a zarazem bije on rytmem serca.

### **Muzeum dość szybko przestało wywoływać dyskusje...**

– Tak. Coś się przełamało wkrótce po otwarciu. „Gazeta Wyborcza” wydała dodatek o powstaniu - afirmatywny, gdzie była mowa o muzeum. Chcę jednak mocno podkreślić, że ta zmiana nie była naszą zasługą. Myśmy, być może, poprzez muzeum, uczestniczyli w odsłanianiu prawdziwego stanu polskiego ducha, który był w latach dziewięćdziesiątych poddany próbie reedukacji przez brutalną i na dodatek bałamutną politykę historyczną. Trzeba tu natomiast powiedzieć o postawie Lecha Kaczyńskiego, który będąc inicjatorem, z pełną świadomością zdecydował się na wycofanie z tego przedsięwzięcia jako polityk. Pan Prezydent nie wykorzystywał

muzeum w swojej kampanii, co dzisiaj, gdy politycy skłonni są upartyjnić wszystkie święta narodowe, jest czymś nie do wyobrażenia. To dzięki jego świadomej decyzji Muzeum Powstania Warszawskiego nie ma barwy politycznej i należy do całej polskiej wspólnoty.

**Oprócz tego zajmował się pan innymi bardzo pożytecznymi rzeczami...**

W każdym razie starałem się. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, razem z Joanną Paciorek, założyliśmy Fundację Świętego Mikołaja. W tym czasie, kończąc doktorat z filozofii, utrzymywałem się z pracy w biznesie. Zorganizowaliśmy jedną z pierwszych kampanii społecznych, zbierając zawrotne pieniądze dla jednego z hospicjów dziecięcych. Potem było tych kampanii kilkadziesiąt; zaczęliśmy realizować własne programy. W zeszłym roku Fundacja obchodziła dwudziestolecie istnienia.

**Fundacja jest tematem na osobną długą rozmowę. Od roku 2004 ukazuje się rocznik filozoficzny „Teologia Polityczna”, wydawany przez Fundację Świętego Mikołaja, prezentujący poglądy środowiska na najważniejsze aktualne sprawy społeczeństwa, państwa, Kościoła – w wymiarze powszechnym.**

Impulsy do tego były różne. Między innymi to, że po odejściu ze „Znaku” Jarosława Gowina mieliśmy kłopoty z publikowaniem naszych tekstów. „Życie”, gdzie pisywaliśmy, już nie istniało. Z Markiem Cichockim i Dariuszem Gawinem powołaliśmy do życia rocznik i zgromadziliśmy grono ludzi, którzy nas wsparli. Potem powstało

wydawnictwo książkowe, strona internetowa, tygodnik internetowy. Rozwinęła się współpraca z wybitnymi autorami polskimi i europejskimi, jak Alain Besançon, któremu, czym się szczytę, szczerze zależało, żeby ostatnią książkę wydać u nas, albo Rémi Brague, który jest naszym autorem i bardzo serdecznym przyjacielem. Do grona naszych bliskich współpracowników należy krąg znakomitych pisarzy i intelektualistów, a wśród nich grupa niezwykle utalentowanych kolegów młodszego pokolenia i duże grono świetnej młodzieży.

**Najogólniej można powiedzieć, że państwa polityce wydawniczej przyświeca to samo myślenie, co rocznikowi i publicystyce.**

Uważamy, że bardzo istotna jest taka perspektywa, która nie redukuje polityki ani do liberalnych tradycji, postlocke'owskich, ani bardziej współczesnych, ale czerpie z zasobów republikańskich, z myśli Arystotelesa i Cyncerona i z polskiej bogatej tradycji republikańskiej. Niepokoił nas zbiorowy ton refleksji nad polityką, który został wyznaczony głównie przez nauki społeczne, ton neopozytywistyczny. Dla nas punktem wyjścia było przekonanie, że dzisiejsza nauka uniwersytecka fragmentuje człowieka.

**Przy jednoczesnym odżegnywaniu się nauki uniwersyteckiej od neopozytywizmu.**

Właśnie. Ciągle jednak czymś odrębnym jest człowiek polityczny, człowiek religijny itd. Perspektywa oglądania całości wydawała nam się ważna i ciekawa. Pojęcie „teologia polityczna”, za które na początku obrywaliśmy, znakomicie się w Polsce przyjęło. Mamy już katedry

teologii politycznej, powstają prace naukowe, coraz częściej ludzie wpisują teologię polityczną w obszar swoich uniwersyteckich zainteresowań. Zrobiliśmy do tej pory jedenaście numerów rocznika – nie zastanawiając się ani razu nad tym, co by ludzi zaciekało – kierując się tym, co nas porywa, pasjonuje, rozgrzewa.

**To jest czynnik, który, moim zdaniem, gwarantuje powodzenie i trwałość „Teologii Politycznej”.**

Dodałbym jeszcze jeden: przyjaźń. Środowisko Teologii Politycznej to jest krąg przyjaciół – Joanny Paciorek, Marka Cichockiego, Dariusza Gawina, którzy również mnie zaszczycają przyjaźnią. Dzisiaj zespoły uniwersyteckie działają raczej na zasadzie antologii niż seminarium, gdzie się dyskutuje w gronie, które jest wspólnotą myśli, upodobań, pasji. To wielka szkoda, bo polska kultura, w tym kultura polityczna, wyrosła z seminarium.

*Rozmawiała Magdalena Bajer*

*Wywiad ukazał się w numerze 9/2019 miesięcznika „Odra”.*

*Publikujemy za uprzejmą zgodą redakcji*